

Kajakami przez Siedmiogród w Rumunii

Celina Mróz i Jarosław Frąckiewicz

Na naszych zagranicznych spływach wędrujemy nad wybraną rzekę ze składanymi kajakami i pozostałym sprzętem noszonym na własnych plecach. Daje to 80 kg obciążenia na mężczyznę, dlatego staję na głowie, aby podróż nad wodę była możliwie najwygodniejsza. Ideałów podobno nie ma, ale podróż do Rumunii była jego bliska...

Desant w Sighisoarze

Do miasta Sighisoara – startu naszego spływu – dotarliśmy z Gdańska pociągiem tylko z jedną przesiadką w Krakowie, a dworzec kolejowy w Sighisoarze oddalony był 500 m od rzeki Wielka Tyrnawa (Tarnave Mare). Na mecie było trochę gorzej, bo od rzeki Maruszy (Mures) do dworca w mieście Deva było 7 km, potem podróżowaliśmy bezpośrednio do Krakowa i dalej do Gdańska.

Za takie wygody ponosiliśmy oczywiście pewne koszty: turkot pociągu, dochodzący od linii kolejowej Kraków-Bukareszt, wzdłuż której płynęliśmy, towarzyszył wszystkim naszym biwakiom. Niektórym to przeszkadzało, ale mnie nie – na wakacjach śpię snem kamiennym. Jeżeli jednak zbudziło mnie nałożenie się trzech źródeł hałasu: całonocnej dyskoteki z rumuńską

muzyką, pociągu i rzeźącej pompy, obracałam się na drugi bok, z błogością uświadamiając sobie, że jestem na urlopie.

Wysiadamy w niedzielę 4 lipca 2004 r. o godzinie 19.01 na dworcu w Sighisoarze. Na zdobyciu noclegu nie ma dużo czasu, za kilka godzin będzie ciemno. W mieście, wiem to z przewodnika, jest kemping na wysokiej górze nad dworcem, ale kapitan Jarek uważa, że tam będzie nam niewygodnie, bo przecież musimy złożyć kajaki i zejść na wodę. Rusza więc z Wiesiem w kierunku rzeki na poszukiwania ogródka nad wodą. Nasze wcześniejsze doświadczenia uczą, że dostać się do ogródka to jak wstąpić do kajakarskiego rajy. Nie dość, że biwak mamy wygodny, tuż przy wodzie, na dodatek najbezpieczniejszy, jaki jestem w stanie sobie wyobrazić, z możliwością pozostawienia namiotów i wyruszenia w czwórkę do miasta, to jeszcze taki nocleg to znakomita okazja do kontaktu z miejscową ludnością.

Z relacji Jarka i Wiesia wiem, że dobijali się do kolejnych furtek, zaglądali za płoty, niestety ogródki nad Tyrnavą są pełne grządek i rabatek, żadnego skrawka łąki dla kajakarzy z Polski. Życzliwy Rumun pokazał im w ogródku przy moście jedyny wolny trójkąt trawy w cieniu owocowych drzew, gdzie za zgodą gospodarza mogliby rozbić namioty. Mogliby, ale cóż, pukają, stukają, w domku nikogo nie ma. Kiedy już stracili nadzieję, chcieli zawracać i nocować na kempingu za dworcem, przyszła gospodyni i bez wahania zgodziła się na postawienie namiotów.



Fot. Jarosław Frąckiewicz

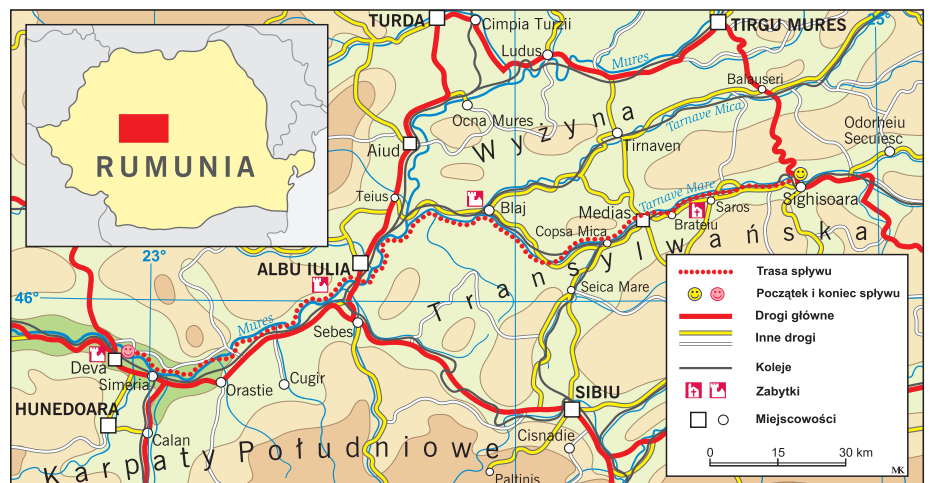
Widoki na Wielkiej Tyrnawie.

Następnego dnia rano w ogródku złożyliśmy kajaki i ruszyliśmy w czwórkę na zwiedzanie Sighisoary. Stary gród na wzgórzu zachował autentyczną średniowieczną zabudowę wraz z murami obronnymi i basztami, co więcej – zabytkowe domy są zamieszkałe. Miasto jest wpisane na listę światowego dziedzictwa kultury UNESCO. Z satysfakcją obserwowaliśmy zadbane elewacje starych domów, czerwone pelargonie zawieszane na murach. Razem z nami te wspaniałości podziwiali tłumy turystów zapelniające wąskie uliczki. Naszą radość dopełniło piwo wypite w eleganckiej restauracji na rynku, o dziwo, w niewiarygodnie niskiej cenie, w przeliczeniu 2 zł za kufel.



Fot. Jarosław Frąckiewicz

Zejscie na wodę w Sighisoarze.



Fot. Jarosław Frąckiewicz



Wieża zegarowa w Sighisoarze.

Wieczorem zaprosiliśmy gospodynię na wino do siebie, na łączkę przy namiotach. Gospodyni ściągnęła koleżankę. Na trawie w cieniu śliw, próbując rozmawiać po francusku, rosyjsku i na migi, wczuwaliśmy się w lokalne klimaty. Największym sukcesem imprezy było nauczenie się rumuńskiej piosenki. Przy kolejnych spotkaniach śpiewaliśmy ją, zdobywając serca Rumunów.

Strażniczki warownego kościoła

Z przewodnika wiedziałam, że w Siedmiogrodzie należy zobaczyć warowne kościoły, budowle gdzie indziej nie spotykane. W miarę narastania zagrożenia tureckiego, z upływem lat i wieków, mieszkańcy prawie każdej wioski w Siedmiogrodzie zbiorowym wysiłkiem przebudowywali miejscowy kościół w warownię tak, że teraz trudno rozpoznać: świątynia to czy zamczysko... Najpierw dodano pierścień murów, później dobudowano potężne baszty. Wieżę kościelną przebudowano na obronną z galerijką obserwacyjną, aby móc z daleka zauważyć wroga i ogłosić alarm, po którym cała ludność osady z bydłem i żywnością skrywała się w ufortyfikowanym kościele, mogąc wytrzymać wielomiesięczne oblężenie.

Był to trzeci dzień pływania. Niedawno zeszlismy na wodę. Pomiedzy drzewami, na lewym brzegu miga wieża z zegarem. „Może to warowny kościół?” – myślę z nadzieją. Dobijamy do brzegu. Jarek jako najmniej zainteresowany „kamlotami”, jak mówi, ofiarowuje się pilnować kajaków. Kościół i wioska są rzeczywiście bliźniutki.

SPŁYW W PIGUŁCE

Trasa

Rzeki w Siedmiogrodzie w Rumunii: Wielka Tyrnawa (Tarnave Mare) od miasta Sighisoara do miasta Deva nad Maruszą (Mures) – 220 km.

Termin

Od 3 do 25 lipca 2004 r.

Trudność

Miejscami WW II.

Dojazd

Pociągami linii Kraków-Bukareszt, koszt tam i z powrotem z Gdańska do Sighisoary – 670 zł.

Noclegi

Biwaki na dziko.

Sprzęt

Dwa składane składaki Tajmiejn wyposażone w wózki.

Zwiedzanie

Miasto Sighisoara, warowne kościoły w Saros i w Braiteiu, miasta: Blaj, Alba Iulia, Deva, zamek Hunedoara.

Koszt całkowity

1200 zł na osobę.

Przechodzimy miedzą pośród pól kukurydzy, przekraczamy tory i raptem stajemy przy pięknym warownym kościele. Oczarowana zauważam, że wieża kościoła wyposażona jest w wąskie otwory strzelnicze i drewnianą galerijkę obserwacyjną. Wszystko otacza potężny ceglany mur z masywną basztą. Podchodzimy do dwuskrzydłowej, nabijanej ćwiekami bramy, która jak za dotknięciem czarodziejskiej różki otwiera się, zanim jeszcze nacisnęłam ręką klamkę.

Za wrotami przyjmują nas na dziedzińcu dwie hoże nastolatki. Kłaniając się prowadzą dalej. Okazuje się, że są klucznicami zegarowej wieży i zapraszają na migi do wejścia na górę. Schody są strome, drewniane, bardzo stare. Wyglądzone stopnie trzeszczą, wypolerowane przez wieki ludzkimi dłońmi poręcze się kolebią. Bosonogie dziewczyny w krótkich spódniczkach prowadzą w górę. Pewnie wbiegają na kolejne podesty, przystając na chwilę, aby na nas poczekać i dodać nam odwagi. Wychodzimy na galerię obserwacyjną. Zachwycona podziwiam rozległy widok na okolicę. Stąd wypatrywano wroga i bito na alarm. Pośrodku wieży, nad otworem w podęście, wisi dzwon. Nasza przewodniczka kładzie zegarek na podłodze, przy otworze. Oka-



Fot. Jarosław Frąckiewicz

Jesteśmy w raju, po ucieczce z Medias.

zuje się, że czeka na dwunastą. Gdy czas nadchodzi, łapie za sznur i dzwoni. Kiedy się zmęczyła, sznur przejęła druga dzwonniczka. Dochośne dźwięki rozchodzą się na cztery strony świata. Wychylam się z galerijki. Kościół otacza krąg murów obronnych z wianuszkami kościelnych zabudowań od strony dziedzińca, wszystkie pokryte starą, szlachetną dachówką. Za murami widzę wioskę, pola i naszą rzekę.

Dzwonniczki na bosaka towarzyszyły nam do kajaków. Dla ochłody, tak jak stały, w spódniczkach i bluzkach, wykąpały się w rzece. Jarek nagle odkrył w sobie duże zainteresowanie historią i koniecznie chciał, odprowadzając dziewczyny, rzucić okiem na cenny zabytek. Nastolatki zaszczębiały, zakrepiły się i znikły, zostawiając zawiedzionego Jarka przy nas.

Dwa trudne dni pod słońcem Siedmiogrodu

Po paru dniach spływu łapie się właściwy rytm. Wstawanie, jedzenie, składanie, spływanie, przybijanie, sta-

wianie, rozpalanie itd. Wszystko w swoim czasie i należytą kolejności. A tu następują dwa dni, niszczące ten porządek – dni wprowadzające nas na przemian to w stan zniechęcenia, to radości i pełnię kajakowego szczęścia.

Wsiadamy w nasze okręty – nasz cel to dojszcie do Medias, znalezienie jakiegoś zycziwego nam ogródka i stanięcie tam na dzień dla zapoznania się z kilkoma historycznymi wspaniałościami, o których z przekonaniem wypowiedała się Celinka.

Po kilku dniach pływania już wiedziałem i uprzedzałem o tym Wiesia, że ogródków nad Wielką Tyrnawą nie ma i nie będzie. Skąd się brała u niego ta niezłomna wiara, że w Medias będzie inaczej?

Przed miastem mamy przenoskę wokół zaporę. Dobijamy do lewego brzegu. Z prawej strony ruiny elektrowni. Wyjścia na brzeg, co jest regułą, nie ma. Brzegiem ciągnie się wydeptana przez wędkarzy ścieżka, obok krzaki. Przy skarpie głęboko i mulisto – normalka. Zabieramy się do rutynowych działań, przyjrzyć się, gdzie jechać z wózkami, jeszcze zdążymy. Słońce dopieka, a my wyciągnięte na brzeg kajaki lokujemy na wózkach. Teraz można zobaczyć, ile mamy drogi z tymi wózkami. Okazuje się, że nie więcej niż 300 m. Przewozimy się za zaporę i po stromym piaszczystym brzegu znosimy wszystko na wodę. Jaką ulgę przynosi zanurzenie się w niej na chwilę, obok załadowanego już, kołyszącego się na wodzie kajaka!

Spływanie ma być teraz sielanką, – aby tylko znaleźć się bliżej miasta, gdzie znajdziemy ów ogródek. Zaczyna się raczej marnie. Podmiejskie, nadrzeczne pejzaże z reguły nie są ciekawe: jakieś budki, dalej trochę krzaków nad brzegiem i znowu wyskakują przed nami jakaś budowla, ni to magazyn, ni to wytwórnia czegoś tam. Mijamy ruiny straszące pustymi oczodołami okien. Rzeka robi się jakby nieco węższa. Teraz szerokim zakolem na lewo, a na brzegu – makabra; śmieci spływające jeźorem w dół do rzeki. Już wiemy, co to oznacza – cygańska osada. Widzę z prawej rurę, wyrzucającą z siebie jakąś zawiesinę. Teraz już mam jasność: trzeba jak najszybciej uciekać, wynosić się z miasta, ani jednej zbędnej chwili na takiej wodzie. Nie mogłem się nadziwić, że w tym momencie usłyszałem, jak płynący na przedzie Wiesiu zwrócił się do nas: – Widzicie ten domek na górze? Tam ogródek! – Wiesiu, na Boga, jaki ogródek? Do



Widok z zegarowej wieży warownego kościoła w wiosce Braiteiu.

Fot. Jarosław Frąckiewicz



Fot. Jarosław Frąckiewicz

W cieniu baldachimów.

wioseł i zmykajmy z miasta najszybciej jak tylko możemy!

Przed nami most, za jego przesłami dzieciarnia wybrała sobie miejsce na kąpielisko. Przy filarze jeszcze da się przepłynąć, ale im dalej od niego, tym wody mniej. Udaje nam się przepłynąć wśród mrowia kąpiących się tubylców.

Dzielnice mieszkalne już chyba mamy za sobą, teraz ciągnie się na obu brzegach rzeki zabudowa przemysłowa. Coś z tego jest czynne, bo dymi, słychać jakieś odgłosy maszyn, reszta opuszczona straszy swoją brzydotą. A my wśród tego przepływamy od jednego brzegu do drugiego w ciągłej obawie, że zrobi się płytko i trzeba będzie brodząc w śmierzdzącej zawieszinie ścigać kajak z płyczn. Niestety, niekiedy przychodziło nam wysiadać.

Wygląda, że niebawem znajdziemy się poza miastem. Nie tak szybko, jeszcze nie tym razem. W oddali hałaśliwa, żywa masa. No cóż, oby się jakoś udało. Podpływamy, natężenie hałasu wzmacnia się. Jakiś kolejny aquapark. Zatrzymujemy się, jesteśmy w pułapce. Rzekę przegradzają dwie stalowe rury wystające 30 cm nad zwierciadło wody. Pomiedzy nimi odległość 3 m. – Więc co, przenoska? – zwracam się ni to z pytaniem, ni to z decyzją do swoich stojących przy kajakach. I sam wiem, że przenoszenie sprzętu jest niemożliwe. Kajaki, bowiem otacza masa dzieciarni, dziesiątki rączek je oblapuje. Tylko co zgarnęłam kogoś przysiadającego się na burcie, a tu już dwoje, niczym na dyszlu u wozu, lokuje mi się na rufie. U Wiesiów podobnie. Nie wiadomo, jak się bronić, nie ma gdzie się wycofać, nie wiadomo, jak przejść te cholerne rury. Czasu nie ma, jeszcze chwilę, a pozostaniemy bez kajaków.

– Przeciągamy kajaki przez rury! – Wiesiek krzyczy mi do ucha. – Tak jest! Podprowadzamy mój, we trójkę wciągamy go na pierwszą rurę, zaraz po tym niczym na rołkach, wpychamy na drugą i kiedy był już na niej w połowie, podniesieniem rufy dało się łatwo spuścić go na wodę. W tym czasie Ania odgania oblepiające kajak Wiesiów mrowie Cyganiątek. Teraz szybko do drugiego kajaka. I ta operacja też się udało. Pośpiesznie odpływamy.

Stopniowo dochodzi do nas, że staje się coraz ciszej i bardziej zielono. Wszystko wskazuje, że kończy się miasto z jego przygodami. Powodów

do radości nie ma, nastroje kiepskie. Woda brudna, w uszach jeszcze słyszemy wrzaski cygańskiej dzieciarni. Może byliśmy w takim stanie, jak kajakarz po wywrotce? Niby dalej mu się płynie, ale jakoś pasywnie, bez przekonania, bez pewności siebie, z demobilizującym uczuciem lęku, jak zachować się na kolejnej czekającej za zakrętem przeszkodzie. W podobnej dyspozycji znaleźliśmy się i my, pływając tego dnia już nie cieszyło. Woda niosła, można było odpłynąć od miasta i choć robiło się późno, na biwak się nam nie spieszyło. Rzucisz okiem na wodę, na czarne pokryte szlamem brzegi, westchniesz sobie i dalej wiosłujesz. W końcu trzeba gdzieś stanąć – żeby tylko w jakimś cichym, ustronnym miejscu, byle nas nie spostrzeżono. W końcu je znajdujemy; wyjście z wody takie sobie, ale za to mamy zakrzaczony pas łąki, obok pole kukurydzy i dalej wał przeciwpowodziowy. Niełatwo będzie nas tu zauważyć.



Fot. Jarosław Frąckiewicz

Niech żyje przyjaźń polsko-rumuńska.

Stawiamy namioty, każdy przy swoich rutynowych „czynnościach”. W końcu rozpalamy ognisko i analizujemy naszą sytuację. Z tego, co zostało powiedziane wyłonił się taki pomysł: rzeka brudna, przed nami tuż-tuż Copsa Mica; miasto w przewodniku opisano jako „piekło na ziemi”, gdzie wszystko jest „szare lub czarne, od dachów domów i okolicznych wzgórz poczawszy, na ludzkich duszach skończywszy”. Oznaczało to dla nas tylko jedno: jest źle, a będzie jeszcze gorzej. Musimy jutro rano pójść do wsi i załatwić przewózkę całego naszego sprzętu poza to sparszywiące Copsa Mica.

Ranek wstał upalny. Szybko zjedliśmy śniadanie i wyruszyliśmy do miasteczka. Szybko mijamy poletek kukurydzy i wchodzimy na wał powodziowy, którym docieramy do wyschniętego strumienia. Idąc wzdłuż niego trafiamy do centrum – rozległy plac, kościół, budynek miejscowej administracji i widoczne sklepiki. Nie zdążyliśmy jeszcze dobrze się rozejrzeć, a już pojawił się przed nami chłopak. Chce nam pomóc, wskazuje na sklepy, do których zapewne zmierzamy. Ale przecież nam nie o zakupy chodzi. Celinka z marszu rozpoczyna wprowadzanie nieznanego w skomplikowaną od strony językowej sprawę naszej przewózki. On coś jakby chwytła, ale do pełnej jasności daleko. Przed nami stoliki. Wpadam na znakomity pomysł, żeby napić się piwa; tam pomaleńku, krok po kroku, wyjaśnimy naszemu znajomemu, co zamierzamy osiągnąć. Zajęty zakupami widziałem, jak Celinka, rysując w zeszycie, usiłuje rzecz wyluszczyć już nie tylko jednemu, ale całemu gronu zainteresowanych słuchaczy. Na stole kartki papieru z rysunkami samochodu załadowanego dwoma kajakami oraz drogi prowadzącej obok szeregu dymiących kominów, kończącej się gdzieś za nimi przy rzece.

Wokół twarze radosne, choć straszne. Czarne kapelusze, czarne kręczone brody i wąsiska, kryjące śniadą cerę i te oczy, niesamowicie świecące.

Prosit, na zdrowie, uderzamy się kufkami. Rozpoczyna się „życie portowe”. Warszawa? Warszawa. Bukareszt? Bukareszt. Na zdrowie! Jak to będzie po rumuńsku?

W międzyczasie Celina relacjonuje, na czym stoimy. Wszystko ustalone, nasz znajomy ma starszego brata, „big brother” nas przewiezie. O 15. będzie na nas czekał. Że też nie mamy aparatów. Toż to niebywała egzotyka. Byłby Wiesio, to należałoby już rozpocząć śpiewanie. Nie ma czasu na zabawę, trzeba szybko wracać. Żegnamy się już nie tylko z naszym znajomym, ale z całym gronem ciekawych i przyjaznych nam ludzi. Nie zdążyliśmy jeszcze odejść od baru, a już pojawił się „big brother”. Nie dowiedzieliśmy się, czy był to przypadek, czy celowo wszczęto za nim poszukiwania. Teraz wszystko już jest dopięte. Będzie na nas czekał nie o 15., tylko już w południe. Mammy zatem trzy godziny na spakowanie





Próg przed Alba Iulia.

majdanu! Zadowoleni, rozbawieni i szczęśliwi z udanej misji szybcieutęko wracamy nad rzekę.

Z naszym przyjściem biwak przeobraził się w miejsce usilnej, nieprzerwanej, nie tracącej tempa roboty. Stopniowo cały ten – wydawałoby się nie do ogarnięcia – majdan sprowadzony zostaje do jednego wózka i czterech wózków na osadę. Jest jeszcze pół godziny, aby przetoczyć się po wale do drogi. I te ostatnie, ciężkie pod upalnym słońcem pół godziny też wytrzymujemy. Przybywamy na miejsce w czasie ustalonym.

Punktualnie pojawiła się nasza Dacia. Oczywiście, transport naszego sprzętu odbywał się w dwóch ratach. Ładujemy się z Celinką jako pierwsi i mocno przeciężonym samochodem odjeżdżamy. Od razu złapaliśmy kontakt ze „starszym bratem”. Rozumiał po niemiecku, radził sobie z angielskim, brało się to stąd, że wyjeżdża regularnie na roboty do Niemiec. Zrobiło nam się jeszcze przyjemniej, kiedy wyjaśnił nam, że są Węgrami, jednymi z wielu zamieszkujących historyczny Siedmiogród. Przejeżdżając przez Copsa Mica mogliśmy zobaczyć nieczynne już zakłady przemysłowe, rdzewiejące, powyginane jakby chorobą instalacje, wszystko to w skali i rozmiarze niebywałym. Tak wygląda realny

krajobraz po bitwie – rezultat przesadnych ambicji i złudnych nadziei. Znamiennym akcentem w obrazie miasta-rumowiska był widok samotnych dziewcząt stojących na jego rogatkach.

Dobrze wiedząc, czego pragniemy, nasz kierowca połąną drogą dowiózł nas do rzeki w miejscu oddalonym od miasta. Kiedy tylko Dacia ruszyła w drugą turę, bez wahania zabrałem się za składanie kajaka. Słońce niemiłosiernie przypiekało, wszędzie wokół piach. Przy skarpie parę nędznych krzaczków, zero cienia. Pod tym słońcem każdy ruch jest katorgą, muszę więc działać powoli, rozmyślnie i skutecznie.

W toku tych zmagani przyjeżdżają Wiesiowie z resztą bagażu. Jest okazja na dłuższą przerwę. Celinka jakby wymusza na „starszym bracie” przyjęcie opłaty za kurs. Bratankowie od szklanki i wybitki powinni również rozliczać się z sobą. Jest sympatycznie. Żałujemy, że musimy się rozstać. Wymieniamy z obu braćmi adresy, zapraszamy do Gdańska, wspólnym ustawieniem się do zdjęcia kończymy nasze spotkanie. Żegnamy się jak przyjaciele. Fajne są te środkowo-wschodnie klimaty.

Z wysokiej, zakrzaczanej skarpy spuszcza my najpierw na wodę kajaki, a później układamy w nich wory, taśmowo podawane z rąk do rąk, z góry do samej wody.

Gdy tylko rozpoczęliśmy spływanie zaskoczyło nas to, że znaleźliśmy się w jakiejś zupełnie nowej krainie. Pokazały się góry, całe górskie łańcuchy. Wysokie zakrzaczane skarpy znikły, a ich miejsce zajęły usypiska głazów i kamieni. Przestrzeń i pustka.

Woda zaczęła cwałować, burzyć się, szpicikami spływać w zawężeniach koryta. Niektóre bystrza zbliżyły się do groźnych dla naszych składaków „dwójek”. Ani się spostrzeżliśmy, że płyniemy regularną rzeką górską. Woda przelewając się przez kamienie kuśi wymyślnymi „dzakuzi”, biczami wodnymi pod rozstępczonym niebem. Pustkowie. Miejsce wymarzone na całodzienny biwak. Decyzja jednogłośnie i entuzjastyczna – stajemy! Wszystkie uciążliwości dnia znikają, nie czuje się zmęczenia. Mieśliśmy jakieś niewygodności, kłopoty? Ale to już poza nami, pozostaną przygodami przechowywanymi w zabawnych anegdotkach.

Zdobycie Alba Iulia

Zwiedzanie Medias wypadło z programu, tym bardziej więc oczekiwałam doptynięcia do Alba Iulia, dawnej stolicy Siedmiogrodu. Na biwak zatrzymaliśmy się na błoniach przed miastem, spod namiotów w oddali było widać ogromne, białe silosy. Plan był taki: spływając następnego dnia cumujemy kajaki w punkcie najbliższym miastu i wyskakujemy na zmianę, parami na „portowe życie”.

Rankiem płyniemy i płyniemy, a miasto się nie zbliża. Pytam wędkarza, jak daleko do Alba Iulia. Na szczęście mogę się z nim dogadać po francusku. Mariusz, sympatyczny prawnik na



W gościnie u rumuńskiej rodziny.

urlopie, potwierdza moje rodzące się podejrzenia – rzeka opływa aglomerację zakolem w odległości 7 km od rogatek. Domyślając się, że chcemy zwiedzić miasto, spontanicznie zaproponowałam, że popilnuje nam kajaków do godziny 17., kiedy kończy wędkowanie. Uradowani niebywałą okazją ruszyliśmy w stronę jaśniejących w oddali silosów Alba Iulia.

Przez nadbrzeże krzaki, błoniami, połąną drogą, asfaltówką docieramy do obwodnicy. Słońce pali niemiłosiernie, jest południe. Po godzinie jesteśmy pod silosami, ale to dopiero przemysłowa dzielnica miasta. Łapiemy „języka”. Mieszkańcy radzą wziąć taksówkę, gdyż do soboru i katedry, znajdujących się w obrębie cytadeli, jeszcze daleko. Staje się jasne, że bez szybkiego transportu nie zmieścimy się w czasie zaproponowanym przez Mariusza. Trochę obawiając się dużych kosztów pytam taksówkarza o cenę dojazdu do twierdzy. – 40.000 lei – słyszę w odpowiedzi. To tylko 4 złote! Zadowoleni wysiadamy przed monumentalnym soborem wybudowanym w 1922 r. na uroczystą koronację pierwszego króla Rumunii Ferdynanda I. W otwartej świątyni odbywa się ślub za ślubem.

Natomiast katedra katolicka, ponoć najstarsza w środkowej Europie, jest zamknięta. Do wejścia równocześnie z nami podchodzą wyściczki węgierska i polska. Znów dopisuje nam szczęście; pół godziny trwają poszukiwania osoby z kluczem, lecz w końcu zostajemy oprowadzeni po świątyni. Znajduje się w niej sarkofag Jana Hunady, obrońcy Belgradu i Europy przed Turkami, o którym dowiedzieliśmy się dzień wcześniej. Grób ten, symbol dawnej potęgi

WWW.KAJAKI.PL
GRUPY ZORGANIZOWANE I SPRAWY INDYWIDUALNE

CZARNA WAWCZA
 KRUTYNIA
 RUSPUDA
 BIEBRZA
 LUPAWA
 DRABIA
 SŁUPNA
 PRZAWA
 GWIZA
 EYWA
 LEBA
 WEDA
 WOD

WYBIERZ TRASĘ - MY ZAJMIEMY SIĘ RESZTĄ
058 - 550 27 74

Węgier, jest celem węgierskich wycieczek, które składają przy nim wieńce z kokardami w kolorach swojej flagi.

W kościele pochowana jest również Izabela Jagiellonka – córka Zygmunta Starego, żona Jana Zapolyi, władcy Siedmiogrodu. Po bezpotomnej śmierci syna Izabeli, Jana Zygmunta Zapolyi, godność księcia Siedmiogrodu piastował Stefan Batory. Właśnie ten Stefan Batory, który kilka lat później został wybrany królem Polski.

Po zwiedzeniu tych wspaniałości zjedliśmy „ciorba de burta”, czyli gęstą zupę z fłaczkami, popijając najlepszym rumuńskim piwem „Ursus”, a na deser „clatide”, czyli naleśniki. Smakowaliśmy w Rumuni różne „ciorby”, lecz zapewniamy was, że ta z fłaczkami jest najlepsza. Jeszcze chwila na szybkie zakupy, w czasie których pamiętaliśmy o winie dla Mariusza i o zapasach na dalszą drogę. Już teraz bez wahania łapiemy taksówkę. Największe zasługi w odnalezieniu drogi do czekającego nad rzeką Mariusza przypisują Wiesiowi. On to, po kilku zakrętach, zorientował się w topografii okolicy i bezbłędnie doprowadził kierowcę i nas do kajaków. Odśpiewaliśmy jeszcze z Mariuszem nowopoznaną rumuńską piosenkę i kilka innych z naszego repertuaru. Pożegnaliśmy się serdecznie i popłynęliśmy jeszcze ze dwie godziny na biwak, z którego, a jakże, widać było nadal błyszczące silosy Alba Iulia.

W rumuńskim domu

Dopływamy do Devy, a właściwie do położonej nad Maruszą wioski oddalonej o 7 km od Devy. Tutaj kończy się nasz spływ. Poszliśmy z Anią po wodę do najbliższego gospodarstwa. Chlewik, w nim wesołe świnki, w oborze zabrane krowy i pachnący mlekiem cielaczek. Wychodzi do nas gospodyni, zna trochę francuski, prosimy o wodę, pytamy o kemping. Do rozmowy włącza się mąż, który choć zna tylko rumuński, od razu wodzi rej w rozmowie.

Kiedy ulokowaliśmy się na kempingu, zaproponowałam: – Odwiedzmy tych gospodarzy z butelką wina! Wszyscy podchwycili mój pomysł z entuzjazmem; była to wspaniała okazja do wizyty w rumuńskim domu.

Późnym popołudniem zjawiliśmy się na podwórku. W pierwszej chwili wywołaliśmy zamieszanie. Domownicy zajęci pracą nie bardzo rozumieli, co nas do nich ponownie sprowadza. Postawione na stole butelki wina wyjaśniły nasze zamiary. Gospodarz widząc co się święci, odstawił na stronę nasze wino i nie zwlekając przyniósł z piwniczki karafkę palinki. – Palinka! – krzyknęliśmy z radością, ciesząc się, że wreszcie będziemy mogli wypróbować słynny rumuński napitek. Do stołu wpięraw dołączyła córka z zięciem, potem mama gospodyni. Po pierwszych tykach już śpiewaliśmy. Rozmawiać było trudno, tylko z gospodynią mogłam się trochę dogadać po francusku. Reszta, łącznie z młodymi, ani po angielsku, ani po niemiecku. Na szczęście wzięłam przemyślnie ze sobą rozmówki polsko-rumuńskie i odczytywałam wszystkie pasujące do sytuacji zdania, np. „Niech żyje przyjaźń między narodem polskim i rumuńskim” albo „Jestem w Rumunii po raz pierwszy”, Jarek

natomiast, trafiając na chybił traf, odczytywał zupełnie przypadkowe kwestie w rodzaju „Bagażowy, proszę zamówić taksówkę”, „Proszę oddać do wyprania moją bieliznę” albo „Jaką rolę odgrywają kobiety w waszym ruchu związkowym?” Gospodarz co rusz wędrował do piwnicy, a my bawiliśmy się coraz lepiej. Śpiewaliśmy po polsku i rosyjsku. Wielokrotnie przećwiczyliśmy, razem z całą rodziną, poznaną w czasie spływu piosenkę rumuńską. Na stole pojawiła się przepięknie podana kolacja: jajecznica ozdobiona przysmażoną, skrojoną w wachlarz słoninką i plasterkami warzyw we wszystkich kolorach. Na deser typowe dla Rumunii naleśniki z dżemem. Co chwila ktoś z sąsiadów pojawiał się na podwórku, to pożyczyć soli, to trochę grochu, strzelając oczyma w naszą stronę. Nie chcąc zamęczyć naszych gospodarzy, późnym wieczorem dałam sygnał do rozstania, znajdując w rozmóvkach zwrot „Robi się późno”. Ta rumuńska rodzina zostanie na zawsze w naszych wspomnieniach.

Charakterystyka rzek

Do popłynięcia Siedmiogrodem zachęcił mnie fascynujący przewodnik wydawnictwa Bezdroży „Transylwania. Twierdza rumuńskich Karpat”. A właśnie Wielka Tyrnawa i Marusza płyną przez środek tej krainy.

Obie rzeki, a zwłaszcza Tyrnawę można bez wahań zaliczyć do szlaków górskich, takich wszakże, po których można spływać wypełnionymi sprzętem składakami. Stopień trudności w niektórych tylko przypadkach zbliżał się dwójki. Trafiliśmy na niską wodę i zapewne taką jest ona przez całe lato. Natomiast gdy woda przybierze, z małej rzeczki robi się wielka woda, która od wieków budziła lęk. Świadczyły o tym olbrzymie budowle hydrotechniczne i dalekie od rzeki usytuowane wsi i miasteczka.

Wysokie, strome skarpy Wielkiej Tyrnawy nie czyniły jej malowniczą w pierwszych dniach spływania. Czuło się, że dalej ciągną się pasma gór, ale poza zakrzaczonymi brzegami nic interesującego z rzeki nie dało się zobaczyć. Dno Tyrnawy po wielokroć stawało się skalistą płytą. Powodowało to, że woda – i tak już dostatecznie szybka – przedzierając się przez kamieniska formowała szpyty lub spadając uskokiem czy nawet całymi grzędami uskoków tworzyła szereg malowniczych, choć zdradliwych „baranów”. Kajaki w takich sytuacjach sprowadzali-



Szczśliwe zakończenie spływu – zamek w Hunedoarze.

śmy, gdy wody było mało, ale im niżej, tym okazji do spływania zdarzało się coraz więcej.

Na Tyrnawie przyszło nam pokonać cztery raporty. Obejścia były co prawda niezbyt długie – do 200 m, ale zawsze niewygodne i uciążliwe, jak to na rzekach, gdzie kajakarzy praktycznie nie ma.

Marusza, na którą wpłynęliśmy, nie od razu stała się szeroką rozlaną rzeką. Z początku cieszyła nas swoimi bystrzami, stając się dopiero bliżej Devy typową rzeką dla długich „marszy” kajakowych. Charakter rzeki był jednakże całkiem nowy. Za niewysokimi brzegami rozciągały się równiny, zamykane łańcuchami gór. Od tam pastwiska i stada bydła stały się nieodłącznym elementem krajobrazu.

Konieczny objazd zniszczonego przemysłem Copsa Mica i fakt, że rzeki, którymi płynęliśmy, przy miastach bywały brudne, mogły nieco ostudzić zapał do pójdca naszym śladem. Transylwania jest wszakże krainą niezwykle interesującą, warto i należy ją, podobnie jak i całą Rumunię, odkrywać dla turystyki kajakowej. Chętni do pływania tam mogliby spenetrować rzekę Maruszę na odcinku od Toplity do Alba Iulia, gdzie na trasie Toplita-Dedy czeka ich 40-kilometrowy przełom pomiędzy Górami Kelimeńskimi i Gurghiułu.

Druga propozycja to Aluta (Olt). Przewodnik „Bezdroży” wymienił ją jako jedyną rzekę, na której w Siedmiogrodzie są organizowane spływy kajakowe. Aluta przecina przełomami kilka pasm górskich i opuszcza Transylwanię poprzez słynny Przełom Czerwonej Wieży, dzielący pasmo Gór Fogarskich i Sybińskich. W tym miejscu dolina, położona na wysokości 350 m n.p.m., otoczona jest masywami górkimi dochodzącymi do 2000 m. W ten sposób mapa kajakowa Rumunii mniej będzie szokowała białymi plamami.



**Dużo wody,
dużo słońca,
zawsze z Nurtem...**

Kajaki: [ilustracja]

WIOSŁO

Kontakt: [ilustracja]

WIOSŁO